Maciej Trawnicki

Sześć żyć i Cherry



„List w butelce... Z uśmiechem jak u małego dziecka otwierałem znalezisko.
Tak poznałem Cherry. Tak zaczęła się przygoda..."

Maciej Trawnicki

Sześć żyć i Cherry

Wersja Demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2019

Spis treści:

1. To będzie mój ostatni obraz, bracie 7
2. Statek. Warta pierwsza 13
3. Ötzi, ucieczka 22
4. Statek. Warta druga 29
5. Rodion i lichwiarka 35
6. Statek. Warta trzecia 40
7. Mały z Auschwitz II 51
8. Statek. Warta czwarta 58
9. Janko i skrzypki 69
10. Statek. Warta piąta 76
11. Epistemologia i ostatni kielich 89
12. Statek. Warta szósta 97
13. Cherry 105

Przedstawiona historia jest fikcją. Wszelkie podobieństwa do istniejących postaci oraz wydarzeń są przypadkowe.

Maciej Trawnicki

„Sześć żyć i Cherry”

Copyright © by **Maciej Trawnicki**, 2019

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie

może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Kamil Skitek**

Korekta: **Joanna Barbara Gębicka**, **Robert Olejnik**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: **978-83-8119-619-2**

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

http://www.psychoskok.pl/

http://wydawnictwo.psychoskok.pl/

e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Wiał miły, ciepły jesienny wiatr, moje stopy drażniły kłujące ziarenka piasku. Byłem w miejscu, które zawsze działało na mnie pozytywnie. Plaża była pusta, jakby przeznaczona tylko dla mnie. Nachyliłem się ku przypływającej fali, coś ze sobą niosła. Trochę potrwało, zanim wydobyłem z wody nietypowe znalezisko, ale dopiąłem swego. To była butelka. Zmatowiona dziesiątkami lat, błąkająca się po oceanie, dryfująca, być może dawno już zapomniana. I w końcu zacumowała. Ale to nie koniec niespodzianek. Czułem wzrastającą ciekawość, gdyż w środku zakręconej butelki była kartka. List w butelce... Z uśmiechem, jak u małego dziecka, otwierałem znalezisko.

Tak poznałem Cherry. Tak zaczęła się przygoda...

1. To będzie mój ostatni obraz, bracie

Minąłem lustro. Minę miałem nietęgą. Faktycznie... Wypiłem jeszcze więcej wina. Byłem taki smutny. Chciałem jakoś to wyrazić. Rzuciłem się więc na płótno jak oszalały. Wydawało mi się, że bardziej oszalały nie mogłem już być, niż w tej chwili. Pędzel mocno napierał na materiał, wirował, jakbym to nie ja go kontrolował, lecz on mnie. I tak też było. Poddałem się temu. Ale tylko na chwilę. Wino nieco uspokoiło mój gniew.

– Dlaczego mam w sobie tyle pasji...? – Rzuciłem płótnem o podłogę i rozdeptałem je butem. Mocnym kopniakiem dokończyłem dzieła...

Przebudziłem się z dziwnego stanu nieprzytomności. Wciąż leżałem w łóżku. Całe ciało było odrętwiałe. „Ile to już czasu trwa, odkąd wróciłem do pokoju?” – Próbowałem się podnieść, ale ćmienie w głowie sprawiło, że skrzywiłem z bólu twarz, powieki opadły ciężko, powodując ciemność, a ja nie podniosłem się ani na centymetr. Otumaniła mnie czarna zasłona. Ale przedtem moje usta zaczęły się ruszać. Szeptałem z cicha:

– Bracie, ten żal do świata wyciskam właśnie z dziewięciu tubek farby. To mój smutny gniew, który tym razem nie będzie gwałtowny, lecz subtelnie złowrogi. Jak zbliżająca się burza, którą dopiero zaczyna być czuć. Miałem... chciałem

napisać do ciebie list, ale jestem zbyt zmęczony. Nawet szukałem wcześniej jakiejś kartki, jednak ta, którą znalazłem, była mocno pomięta. To chyba był jakiś niewysłany list do ciebie. Pisałem w nim coś takiego: ...*mam nadzieję, że tego roku moje postępy, dzięki tutejszemu powietrzu, będą skutkowały tym, że nadrobię wszelkie terminy płatności. Wiem, że obarczam cię ponownie moją prośbą o kolejną przesyłkę pieniędzy w tym miesiącu. Staram się wykonywać wiele szkiców. A nawet zbyt wiele, bo często z przymusu. Wyślę ci wkrótce bardzo porządne płótna z sadem. Myślę, że są naprawdę dobre, to i cenę powinny mieć również odpowiednią. Rosnące tutaj kwiaty wiedzą, jak pokazać się dla oka malarza. Zatem współpracujemy. Wyobraź sobie, że oni, mieszkańcy, nie potrafią nawet wypowiedzieć poprawnie mojego nazwiska. Mają mnie za ordynarnego człowieka. Czyżby zbytnio sugerowali się moim wyglądem? Ale ja jestem prosty w okazywaniu emocji i w kontaktach czasem wręcz nieśmiały. Tak jak maluję, tak mówię i żyję. A może powinienem się jednak zmienić? W jakiś sposób przemalować jestestwo? Ostre jak brzytwa myśli rozcieńczyć mgłą biernego poddania się rzeczywistości? Jednak nie potrafię. Może w nas najzwyczajniej jest coś szalonego. Może to przez to, że zbyt mocno wziąłem sobie słowa ojca, którymi karmił mnie w dzieciństwie? Nie czuję się doskonały. Wręcz biegnę na końcu tego tłumu, który tak myśli. Ale chcę uczyć się każdego dnia, jak dokonać tego, abym wreszcie mógł po prostu malować. Zwyczajnie zająć się malarstwem na dobre. Wiesz, ostatnio jestem bardzo słaby. Jest maj, a moje zdrowie wciąż jest niepokojące, jakże to wytłumaczyć? Picie,*

palenie na razie odłożyłem. Przynajmniej teraz hamuję się z tym. Chciałbym też kupić kilka mebli, ale na razie nie udało mi się ich zdobyć…

*

Przebudziłem się, gdyż usłyszałem otwieranie drzwi. Ktoś wszedł do pokoju i coś mówił do mnie, sprawdzał moje czoło, dotykał ciała, otworzył okno. „Czyżby to doktor?” – Słabo widziałem. Postać była nieostra. Przez chwilę pomyślałem, że to jesteś ty.

– Trzeba być ostrożnym – powiedziałem. – Bracie, w codziennym życiu ważna jest prostota. Zwykłe ubranie, woda, haust powietrza. To poskutkuje brakiem kłopotów...

– Oczywiście, Vincent. Ale opowiedz mi o obrazie.

– Tak, właśnie, obraz. Te ptaki kołują zrozpaczonym lotem. Jakby nie chciały wylądować na tym polu.

– Jest poranek czy wieczór?

– Jest już późno. Przynajmniej tam, gdzie jest horyzont, zbliża się wieczór.

– Długo tam jesteś?

– Przychodzę już czwarty dzień. Sztalugę rozkładam w miejscu, w którym są ślady z dnia poprzedniego. Ścieżka jest wydeptana, więc trafiam bez problemu. Cieszę się, że to ostatni obraz.

– Dlaczego tak mówisz?

– Pamiętasz, jak mówiłem, że kolejne pokolenia są słabsze?

– Tak.

– Nie chcę już tego ciągnąć. Jest taki moment zatrzymania. I to dzieje się właśnie teraz.

– To będzie tylko obraz z ptakami?

– Nie, ale one sprawiły, że zacząłem go malować. Prowadzić będzie do nich ścieżka pomiędzy pszenicą, gdy ruszy się nią w drogę, będzie można dotrzeć do kruków i zobaczyć, czemu nie chcą wylądować. Mieszam właśnie granat z bielą. Gdybym nie kochał kolorów, namalowałbym te niebo czarną farbą. Ten brak drzew jest również bardzo niepokojący, bo wiesz, usunąłem je z tła. Czasem patrzę na drzewo tak długo, że zaczynam zastanawiać się, dlaczego ma taki kształt i jak to możliwe, że jego pierwotny początek, czyli ziarno, mieści się w zaciśniętej dłoni dziecka. Jak to możliwe, że z ziarna rozwija się tak niesamowicie wielkie drzewo?

– Lubię słuchać, jak opowiadasz o malowaniu.

– Tak samo jest z miłością.

– To znaczy?

– Wydaje mi się, że ta pierwsza iskra sprawia, że potem uczucie rozrasta się we wszystkich kierunkach, tylko... Tylko trzeba pozwolić, aby ten proces pozostał niezakłócony przez nasze obawy. Miłość jest czystym uczuciem, pozbawionym wad. Wadą jest jedynie ten twór, który łaknie miłości, czyli my, ludzie. Ale to właśnie dzięki miłości my stajemy się

czyści, przezroczyści, usprawiedliwieni. Żądze zaś zostają nakarmione. Dlatego gdybym miał namalować miłość, kolory byłyby drżące, mieszające się, wręcz walczące.

– Połączenie wszystkiego...

– Tak. Poddanie się temu bez atakowania.

– Jesteś, Vincencie... zbyt idealny.

– Dlatego dziś wróciłem na pole. Teraz wiem, dlaczego kruki nie chciały wylądować. Bo przestraszyły się, gdy tam podszedłem. Miałem broń. Pożyczyłem ją. Nie wiedziałem do końca, jak to zrobić. I jak zwykle zrobiłem to źle.

– Wiem, właśnie dlatego jestem taki smutny. Nie umiem tego udźwignąć.

– Bracie, przepraszam. Żałuje, nie zrobiłbym tego, gdybyśmy wcześniej przeprowadzili tę rozmowę. Ale jest już za późno. Czy my naprawdę rozmawiamy? Czy tylko mi się to wydaje. Nie gniewaj się, bracie...

– Ale ja nie jestem na ciebie zły, tylko przykro mi i smutno. Bez ciebie to już nie ma sensu.

– Lubię kolory... A ty?

*

Coś zaszumiało tuż przy mnie. Jakoś tak wewnątrz poczułem, że rozpadam się, a potem zapadła ciemność, ale... W tej ciemności widziałem jednak wszystko, czego dotąd pragnąłem, każdy kolor, każde marzenie, każdą miłość, każdy uśmiech, który się nie wydarzył, setki słów,

których bałem się wypowiedzieć, i moje obrazy, wszystkie, które chciałem namalować i wszystkie, które dopiero namaluję. Odetchnąłem po raz ostatni. I poddałem się temu bezgranicznie.

2. Statek. Warta pierwsza

Wiał miły, ciepły jesienny wiatr, moje stopy drażniły kłujące ziarenka piasku. Byłem w miejscu, które zawsze działało na mnie pozytywnie. Plaża była pusta, jakby przeznaczona tylko dla mnie. Nachyliłem się ku przypływającej fali, coś ze sobą niosła. Trochę potrwało, zanim wydobyłem z wody nietypowe znalezisko, ale dopiąłem swego. To była butelka. Zmatowiona dziesiątkami lat, błąkająca się po oceanie, dryfująca, być może dawno już zapomniana. I w końcu zacumowała. Ale to nie koniec niespodzianek. Czułem wzrastającą ciekawość, gdyż w środku zakręconej butelki była kartka. List w butelce... Z uśmiechem, jak u małego dziecka, otwierałem znalezisko.

Tak poznałem Cherry. Tak zaczęła się przygoda. Cherry była programistką we wpływowej instytucji, miała wiele tajemnic, lecz gdy pojawiłem się przy drzwiach jej domu z listem... z butelką..., od razu staliśmy się przyjaciółmi. List został wrzucony do wody razem z butelką przez nią, gdy miała dziewięć lat. Szukała wówczas zrozumienia i przyjaciela. Tak jak większość dzieci w jej wieku (a może nie?) chciała od życia czegoś nieosiągalnego, jakiejś nieokreślonej bliskości drugiej osoby. Brakowało jej bratniej duszy. Tak więc pewnej nocy zakradła się na plażę i swe

skryte marzenie rzuciła w głębiny oceanu. Minęły lata, nadzieja zakryła się mgłą. Ale wówczas zjawiłem się ja.

Od razu poczuliśmy, że należymy do siebie. Byliśmy połówkami całości. Spotkaliśmy się odrobinę za późno, każde z nas miało już duży bagaż doświadczeń, trochę zbyt wiele lat na karku, ogrom zmartwień, lecz i to nie przeszkadzało, abyśmy byli jeszcze bliżsi sobie. Niestety, nasza przyszłość była niepewna. Nasza, czyli całej ludzkości. Ziemia umierała, choć my czuliśmy miłość. Jednak to dzięki temu, że ją spotkałem, jestem jednym wśród tysiąca osób wrzuconych w przestrzeń na okres wielu tysięcy lat... jak list w butelce. Dryfujemy ku nowej Ziemi, gdyż ta... umiera. Poznaliśmy się w niecodzienny sposób i czekała nas szalona przyszłość.

*

– Kiedy będziesz w komorze hibernacyjnej, zaśniesz i obudzisz się na Ziemi, co zrobisz?

– Chyba nie chcę śnić... wolałbym jednak nie zasypiać.

– To niemożliwe, podróż jest zbyt długa. Będzie dobrze, zaufaj mi.

– Wiem, tylko tobie mogę ufać. Ale sen, w który wszyscy zapadniemy, ma wyglądać jak prawdziwe życie. Mówią, że ten stan dla śniącego będzie tym, czym aktualnie jest dla nas życie, jakie wiedziemy. Boję się tego braku kontroli świadomości.

– No, co ty!

– A nie mogli po prostu wprowadzić nas w stan hibernacji bez snów i marzeń? To byłoby coś w stylu: zamykasz oczy, otwierasz i koniec podróży. W sekundę niebytu mija kilka tysięcy lat.

– Niestety, nie! – zachichotała. – Mózg nie lubi nic nie odczuwać. Z powodu braku bodźców zacznie chorować, doprowadzając organizm do otępienia, szaleństwa, śmierci. Umysł bez wrażeń usycha jak kwiat bez wody, jak ptak bez skrzydeł. Dlatego te sny, które wydają się tak realne, tak niesamowicie prawdziwe, są jedynym rozsądnym i logicznym rozwiązaniem podczas naszej bardzo długiej podróży. Miałam mały wkład w programowanie, naprawdę nie ma się czego obawiać, nic nam nie grozi. Zapewniam cię, że ta technologia jest w pełni przetestowana, wielu bogatych ludzi, którzy zapadli na nieuleczalne choroby, jest już od lat w takim stanie... Czekając, aż medycyna wykona kolejny krok. Wówczas ich obudzimy i uleczymy. A teraz żyją sobie w błogich snach, śniąc różne życia.

– No, nie wiem. Jakoś nie podzielam twojego spokoju. Boję się zwykłej narkozy, a co dopiero tego... A co, jeśli przyśni mi się jakieś złe życie?

– Dobrych snów kochany! Ha ha.

Przypomniała mi się ta niepokojąca rozmowa. Została utrwalona na stałe w mej pamięci. Statek mknął setki kilometrów na sekundę. Był ogromny, a ja byłem niezbędnym trybikiem, który właśnie miał swoją zmianę.

Będąc sam w sterowni, uświadomiłem sobie, że ona miała rację, że Cherry miała rację... Trochę mnie to zasmuciło, bowiem przede mną kilka dni, które spędzę samotnie na statku. Wykonam kilka niezbędnych prac. Potem ktoś mnie zmieni, a ja wrócę do swej kapsuły, komory, czy jak nazwać to miejsce... Zasnę, zanurzę się w ziemskim świecie i być może odnajdę Cherry w którejś z postaci lub po prostu zajmę się zwyczajnym życiem. I nawet nie będę tego świadomy, że to tylko włączony program, przetwarzany w moim umyśle.

Nasz statek był arką, która zmierzała ku nowej Ziemi, oddalonej o tysiące lat podróży. A co ze starą? Ją zniszczyliśmy, zajęło nam to kilkaset tysięcy lat, ale w końcu stało się. Nasz gatunek sprawił, że teraz musimy opuścić swój dom, aby przetrwać. Zniszczyliśmy planetę, tak jak nieświadome dziecko niszczy skomplikowany mechanizm zabawki jednym niefortunnym rzutem o podłogę. To na naszą obronę. Bo przecież nie zrobiliśmy tego świadomie. Ale ostatecznie tak to się skończyło. Być może zabawkę naprawią rodzice dziecka, lecz nad nami nie było już nikogo, kto by posprzątał ten bałagan. Był Bóg, prawdopodobnie, ale on nie interweniował... Więc kilku mądrych ludzi wzięło się ostro do pracy i w ten sposób próbowało naprawić błąd. Pomysł okazał się stary, lecz na szczęście technologicznie wykonalny. Nie było zbyt wiele czasu na ucieczkę. Lasy nie chciały już rosnąć, powietrze stało się skąpe, atmosfera rozrzedziła się, a ziemia wysychała, woda parowała. Żar słońca rozniecał palenisko

metalu i plastiku, zatruwając nasze płuca. Ślepliśmy od promieni słonecznych. Dzieci już nie rodziły się zdrowe. Wówczas zaczęliśmy szukać jedynego rozwiązania: ucieczki z naszego domu.

I udało się znaleźć sposób. Zadanie było niebezpieczne i zarazem ostateczne. Przed nami było ponad sześć tysięcy lat podróży, aby dotrzeć do odpowiedniej planety, na której będziemy mogli żyć tak, jak na Ziemi. Pewność naukowców, że to może się udać, sięgała dziewięćdziesięciu dziewięciu procentów. Jednak wyruszyć w tę niezwykłą podróż udało się garstce ludzi, która akurat była w odpowiednim miejscu o idealnej porze. Byłem tam ja, Cherry oraz niecałe tysiąc osób. Nie było żadnej segregacji, badań, wyboru odpowiedniego genotypu, aby rodzaj ludzki był jak najlepszego sortu. Nie. Po prostu dostali się ci, którzy mieli łut szczęścia. Reszta, miliardy istnień, umarła w strasznych, lecz krótkich męczarniach. Wystartowaliśmy w ostatniej chwili. Nikt nas nie żegnał, nikt nie zapowiedział naszego startu, wszystko odbyło się w grobowej ciszy umierającej planety.

Większość pasażerów była pogrążona we śnie, a ich umysły wprawione w symulacje tak, by mieć wrażenie normalnego życia. To podobno ważny aspekt zdrowotny. Niektórzy co jakiś czas musieli wykonać kilka prac, więc byli wybudzani. Ja akurat miałem takie szczęście. Mimo tego wciąż zastanawiałem się, czy ta podróż będzie miała jakiś finał... Przecież to sześć tysięcy lat przemierzania niewiadomej kosmicznej drogi pełnej nieokreślonych

zagrożeń. Lecz to jedyna ucieczka od śmierci naszego gatunku. Oczywiście ja nie uważałem, że byliśmy winni, po prostu tak się stało, taka była kolej rzeczy, wywołana naszym ciągłym rozwojem i spełnianiem marzeń. Zawsze chcieliśmy czegoś, co było nieosiągalne i w końcu to mieliśmy. Teraz czekała nas totalnie niemożliwa wcześniej rzecz do zdobycia: nowa Ziemia. Jeśli uda się to... nic już nigdy nie będzie nas ograniczało. Zasiejemy się jak zboże w całym wszechświecie!

*

Zerwałem się z miejsca i ruszyłem ku długiemu korytarzowi. Ściany wyłożone lśniącym metalem odbijały cień mojej postaci. Mocno schudłem po ostatnim śnie w hibernacji. Ale to nie dziwne, gdy organizm zostaje spowolniony tak bardzo, że procesy, dziejące się zazwyczaj momentalnie, rozciągają się na okres wielu godzin. Prawie biegłem. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do sterowni, bo tam był notes. Miałem przebłysk pamięci snu. To dla mnie bardzo ważne, bowiem snów nie powinno się pamiętać. Symulacja nie pozwalała, aby mózg je zapamiętywał. To mogłoby doprowadzić do szaleństwa. Ale ja, zawsze tuż po obudzeniu, miałem resztki wspomnień. Czasami było to słowo, odczucie, symbol. Notes był w komputerze sterowniczym w maszynowni, którą nazywałem po prostu sterownią. Jakiś błąd programu pozwalał mi ukrywać swe zapiski w pliku. To była moja osobista forma pamiętnika.

Wprawdzie wpisywałem tam zaledwie pojedyncze słowa, ale stanowiły one niejako rachubę czasu podczas podróży lub znak, że czas ten upływał.

Statek był potężny, a moim zadaniem było pilnowanie stabilności lotu oraz ewentualne usuwanie drobnych awarii. Nie mogłem wpłynąć na zmianę kursu, więc kiedy mówię o stabilności, chodzi mi o sprawdzenie stopnia zużycia pancerzy zewnętrznych, szczelności, funkcjonowania sprzętu i tego typu rzeczy. Byłem po prostu zwykłym mechanikiem pokładowym. W sumie głównie pełniłem bardziej rolę stróża nocnego, który sprzątał drobne zanieczyszczenia. Ale czasami najważniejsze funkcje idą od samego dołu. Tutaj, w tym momencie, byłem bardzo ważny. Pilnowałem statku przemierzającego dziewicze obszary kosmosu. Człowiek nigdy nie był tak daleko. To największy wyczyn naszego gatunku. Naprawdę było czym się pochwalić.

Nasza arka została wykonana wiele lat temu dla pewnego bogacza, który w swym szaleństwie przewidział możliwość rychłego opuszczenia Ziemi i poszukiwania nowego domu. Koszt zbudowania był przeogromny. Technicznie statek wyprzedzał o kilka dekad sprzęt, którzy był dostępny nawet dla wojska. Podejrzewam, że gdyby został pokazany ludzkości, mógłby zostać uznany za obiekt pozaziemski. Cherry od początku brała udział w przedsięwzięciu. Bardzo uśmiała się ze mnie, gdy w pewnym momencie przestałem jej wierzyć, mówiąc:

– Dlaczego wciskasz mi taki kit... to cię bawi? – Ale w końcu uwierzyłem.

Gdy exodus się rozpoczął, większość z nas ze smutkiem wchodziła na pokład statku, zostawiając za jego drzwiami świat, czyli wszystkich kochanych przez siebie ludzi. Wielu zrezygnowało. Matki i ojcowie nie potrafili zostawić swych dzieci. Ja miałem to szczęście, że całe życie byłem sam, a teraz poznałem Cherry i dzięki niej mogłem ruszyć w nieznane. Nie zależało mi, jak się to wszystko skończy, przynajmniej wówczas, ale cieszyło mnie bicie ciepłego serca mojej ukochanej i nadziei dodawał mi jej ciągły uśmiech na twarzy. Byłem zakochany. Mój wieczny pesymizm topił się w radości tej niezwykłej kobiety.

– Cholerna kupa złomu! – kopniakiem uruchomiłem klimatyzację, która wciąż się zacinała. Na włączniku było widać, że nie tylko ja robiłem to w ten sposób. Do obsługi statku przydzielona została ponad połowa jego pasażerów. Ale musieliśmy robić to w pojedynkę. Instrukcje były jasne, wręcz dziecinnie proste. Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego nie mogło być liczniejszej obsługi. Podobno wszystko powiązane było z energią. Genialny plan tego statku brał pod uwagę wszelkie możliwości. Mój organizm był na bieżąco monitorowany. Gdyby cokolwiek mi groziło, system sam odesłałby mnie, jak lunatyka, do komory hibernacyjnej. I zostałby obudzony kolejny „stróż”.

Te kilka dni to odpowiedni czas, by zbytnio nie znudzić się monotonią pustych korytarzy, tym milczącym pomrukiem pracującej mechaniki, tym niepokojącym brakiem

jakiegokolwiek okna, przez które można by wyjrzeć na zewnątrz. Kilka dni, czasem jeden, góra siedem. Ostatniego dnia po prostu kładłem się spać, nie wiedząc na jak długo. Mogło to trwać wiele lat, nawet setki, mogło też trwać kilka dni. Byliśmy tasowani jak karty przez inteligentny system, który sam decydował, kto akurat w danym momencie najlepiej poradzi sobie z powierzonymi zadaniami. Znaczenie miała kondycja fizyczna, zdrowie i umiejętności.

Byliśmy utrzymywani w trakcie hibernacji za pomocą skomplikowanej neurologicznej procedury w złudzeniu, namiastce normalnego życia. Taka forma symulacji, oddziaływająca bezpośrednio na mózg, sprawiała, że umysł nie potrafił odróżnić jej od prawdziwego życia. Było to jak sen, lecz w pełni logiczny, w którym jesteśmy świadomi, lecz nie wiemy, że to nie dzieje się naprawdę. Bałem się, gdy po raz pierwszy wprowadzano mnie w stan hibernacji. Byłem przerażony, ale można było się do tego przyzwyczaić. Niektórzy nie mieli z tym takich problemów jak ja. Wręcz cieszyli się i byli podnieceni, zamykając oczy.

Wreszcie wpadłem do sterowni. Na potężnym ekranie wpisałem słowa: *lubię kolory.*

Koniec Wersji Demonstracyjnej